

Myśliwi są prawdziwymi adwokatami natury

Łowiectwo dla bohatera wywiadu jest nie tylko pasją czy formą spędzania wolnego czasu. To, jak sam mówi, znacznie więcej. **Hr. Jan Potocki** dzieli się swoimi myśliwskimi doświadczeniami, które zdobył w różnych zakątkach świata, a także podpowiada, w jaki sposób poprawić skuteczność swoich strzałów.

Urodził się Pan w południowej Afryce, długo mieszkał we Francji, natomiast do Polski przyjechał jako już dojrzały człowiek. Gdzie znajduje się Pana ojczyzna?

Trudno powiedzieć, nazwałbym siebie obywatelem świata. Chociaż mam polskie obywatelstwo, to nie jestem całkowicie Polakiem, mam charakterystyczny akcent, a przede wszystkim inne myślenie. Ale nie przeszkadza mi to kochać tego kraju i dobrze się tu czuć. Podobnie mogę rzec o Francji: mimo że mam w Montrésorze ziemię i spędziłem (i nadal spędzam) tam dużo czasu, daleko mi do mentalności Francuzów, a i oni nie uważają mnie za swojego.

Jednak Polska zajmowała ważne miejsce w Pańskiej świadomości?

Długo nie miałem do niej wstępu, znałem ją przede wszystkim z opowieści. Moi rodzice, ze względu na to, że po wojnie byli mocno zaangażowani w AK, kiedy w Polsce narodził się komunizm, musieli uciekać z ojczyzny, ponieważ ich życiu groziło niebezpieczeństwo. Wyjechali do Afryki, gdzie urodziłem się w Johannesburgu, tam skończyłem szkołę i uniwersytet, a także odbyłem służbę wojskową. W Polsce oraz innych krajach zza żelaznej kurtyny uważano mnie za *persona non grata*, kapitalistę, który ma pełne kieszenie złota i gnębi Murzynów.

dr Izabela Kamińska
e-mail: i.kaminska@oikos.net.pl



hr. Jan Franciszek Stanisław Potocki herbu Pilawa – myśliwy oraz miłośnik safari. Zawodowo zajmuje się administrowaniem nieruchomości. Syn Anny z Reyów oraz Konstantego Jana Potockiego. Urodził się w RPA, gdzie spędził dzieciństwo i wczesną młodość. Ma ogromne doświadczenie łowieckie. Polował w różnych zakątkach świata. Zdobytą praktyką dzieli się z innymi myśliwymi, a ponadto organizuje wyprawy na safari dla europejskich łowców. W Muzeum Niepołomickim prezentuje kilkadziesiąt swoich egzotycznych trofeów pozyskanych w czasie polowań na afrykańskiej sawannie. Łowieckie eksponaty są wykorzystywane również do prowadzenia zajęć przyrodniczych. W ciągu roku ok. 30 tys. dzieci odwiedza muzeum, by uczyć się na lekcjach elementów zoologii i botaniki.



Arch. Jana Potockiego (5)

Po raz pierwszy przyjechałem do Krakowa w 1990 r. Mieszkała tam siostra mojego ojca, ciotka Pelagia. Była już w podeszłym wieku, więc uświadomiłem sobie, że muszę tu zostać, aby jej pomóc. Próbowałem się odnaleźć w nowej sytuacji i m.in. poznać środowisko lokalnych myśliwych. Szybko zdałem egzamin łowiecki i w miesiąc miałem już pozwolenie na broń oraz uprawnienia myśliwskie. Przyłączyłem się do dwóch podkrakowskich kół łowieckich.

Czy tradycje przodków, również te łowieckie, są dla Pana istotne?

Chociaż żyłem z dala od ojczyzny moich przodków, to rodzice zadbali, aby

wychować mnie zgodnie z tradycją ziemiańską oraz etykietą. Współczesne odchodzenie od wypracowanych przez pokolenia reguł i kanonów zachowania uważam za upadek. Nierozumiałe są dla mnie: tatuowanie ciała, brak szacunku wobec starszych czy impulsywne wyrażanie swoich emocji. Dziwi mnie też, że ludzie tak dobrze odbierają kombinatorów, którzy za wszelką cenę próbują się wybić. Mnie od dziecka rodzice powtarzali, że człowiek musi być kryształowy i mieć swój honor. Ponadto powinien się odznaczać szczerością, odpowiedzialnością i otwartością. Te wszystkie zasady przenoszę również do kniei. Odpowiedzialność i szacunek dla

przyrody oraz właściwe zachowanie na polowaniu to nieodłączne cechy prawdziwego myśliwego.

Ma Pan łowieckie autorytety? Pańska mama Anna Potocka stwierdziła [w wywiadzie w BŁ nr 2/2017 – przyp. red.], że to za sprawą Jana Szeptyckiego został Pan myśliwym, ponieważ podczas chrztu niczym wróżka przepowiedział Panu umiłowanie lasu i zwierząt.

Z pewnością mój ojciec chrzestny miał duży udział w przygotowaniu mnie do bycia myśliwym. Wiele się od niego dowiedziałem. W ciągu swojego życia poznałem co najmniej kilka osób, które zaimponowały mi wiadomościami, praktyką bądź talentem opowiadania o myśliwskich przygodach. Wśród tych autorytetów czołowe miejsce zawsze będzie zajmował jednak mój ojciec. To on nauczył mnie ciekawości przyrody i jej szanowania, a także cierpliwości. Gdy pojawiaam się w lesie, postrzegam tę przestrzeń inaczej niż pozostali ludzie, widzę i słyszę bowiem znacznie więcej. To niezwykle ważna umiejętność dla myśliwego.

W młodym wieku ojciec pokazał mi bardzo przydatną, wykorzystywaną przeze mnie do dziś technikę klejenia się do drzew. Kiedy pozostajesz w bezruchu blisko drzewa, przejmujesz zapachy lasu. Dzięki temu zwierzęta nie zauważa albo zaczyna traktować jak



swojego i często przychodzi do samych nóg. Jednakże jakkolwiek ruch zdradza myśliwego. Denerwują mnie koledzy, którzy podczas polowania kręcą się, nie mogą ustać w miejscu, nudzą się. Oni w ogóle nie potrafią obserwować natury i dostrzec, jakie niezwykle spektakle rozgrywają się nieopodal nich.

Kiedy rozpoczęła się Pana łowiecka edukacja?

W rodzinie, w której poluje się od niepamiętnych czasów, właściwie dzieje

się to od narodzin. Dziecko rośnie i się rozwija wśród łowieckich opowieści, zapachów, pamiątek z łowów. Trudno to ustalić, ale Potoccy polują z pewnością od 12 generacji. Podobnie jak inne rodziny ziemiańskie, dla których łowiectwo stanowiło jeden z podstawowych sposobów rozrywek, sportu i zaspokajania potrzeb żywnościowych. Dzieci zabierano na polowania bardzo wcześnie, zwłaszcza chłopców. Z łowiectwem jest podobnie jak z jeżdżeniem na rowerze – u dorosłego o wiele trudniej zaszcześcić tę pasję, dlatego współczesne pomysły o zakazie udziału dzieci w polowaniach moim zdaniem nie mają sensu.

Ja dostałem pierwszą broń, kiedy skończyłem sześć lat. Mieszkaliśmy wtedy w Afryce i ojciec dał mi wiatrówkę. Strzelałem właściwie do wszystkiego, co się ruszało. Na początku sprawiało mi to olbrzymią frajdę, ale szybko zobaczyłem, że mierzenie do żywego celu jest niemądre, niczemu nie służy. Potem strzelałem do zapalek, które się wrzucało do rzeki. Im dalej płynęły po powierzchni, a mnie udawało się w nie trafić, tym lepiej wyrabiałem swoją celność. Oddałem setki tysięcy strzałów, co zaowocowało doskonałą praktyką. Gdy skończyłem osiem lat, ojciec zabrał mnie na strzelnicę i od tej pory uczyłem się posługiwania bronią kulową. Zaczęliśmy też wspólnie jeździć na polowania. Brali w nich udział także koledzy ojca oraz nasi kuzyni, ►



m.in. wspomniany Jan Szeptycki, Karol Radziwiłł, Jan Zalewski, Ludwik Cieński i „Synuś” Zamoyski. Jechaliśmy 4–5 godz. samochodem na południe od Johannesburga do Karu Wielkiego. Tam na prywatnych farmach, liczących nawet 22 tys. ha, właściciel organizował polowanie. Najpierw kilku Murzynów na koniach jako naganka penetrowało dany obszar i pędziło zwierzynę w kierunku myśliwych, ustawionych w jednej linii w odległości ok. 200 m od siebie i tworzących front długi na 2 km. Ja również miałem stanowisko, ale opiekował się mną wyznaczony do tego Murzyn, który kiedy zaistniała taka konieczność, delikatnie odchyłał ręką lufę mojej strzelby, abym przypadkiem nie strzelił w jeźdźcę czy innego myśliwego, gdy skupiałem się na obserwowaniu zwierzyny przez lunetę. To było niesamowite widowisko, świetni przedwojenni łowcy z dużą praktyką i doskonałym wzrokiem. Nigdy nie zapomnę Cieńskiego, który w wieku 80 lat z wolnej ręki celnie strzelał na 250–300 m. To mnie motywowało, a z drugiej strony dawało wiarę we własne możliwości.

Czy w Afryce polował Pan też z podchodu?

O tak. Kiedy podrosłem, ojciec wciągnął mnie w polowania na antylopy i tutaj taktyka wyglądała inaczej, one nie były już pędzone. Łowy odbywały się nie na otwartych stepach, ale w buszu, gdzie można się ukryć za krzewami lub trawami. Najważniejszym narzędziem okazała się lornetka. Przeglądanie się zwierzęciu, zastanawianie, wyczekiwanie na właściwą chwilę. Czułem się wtedy jak Indianin, który się skrada, obserwuje ślady na ziemi, musi wyczuć wiatr i podejść jak najbliżej. Bardzo dużo polowałem w ten sposób i do dziś pozostaje to jedną z moich ulubionych metod.

Jestem ciekawa Pana reakcji, kiedy zderzył się Pan z wyjątkowo dynamicznymi i głośnymi polowaniami we Francji...

Można powiedzieć, że wywołały u mnie spory szok. Popularny wówczas – i zresztą nadal stosowany przez Francuzów – rodzaj łowów z chartami nie przypadł mi do gustu. Nie jestem ich zwolennikiem po dziś dzień, ponieważ w takim szybkim pędzeniu myśliwy nie może rozpoznać płci ani stanu danego osobnika.

Jeszcze bardziej spektakularnym wydarzeniem okazało się *chasse à courre*, czyli gonitwa myśliwych jadących na koniach za jeleniem pędzonym przez 60–80 psów. Taką organizowano (i robi się to dotąd) dwa lub trzy razy w tygodniu w okresie od października do końca marca. W tym przypadku rola myśliwego ogranicza się właściwie tylko do jeźdźcy i obserwatora, natomiast polują psy, które nie znają granic, więc mają prawo przejść z prywatnych ziem do sąsiadów i tę gonitwę doprowadzić do skutku, najczęściej w jeziorach lub rzekach.

Kiedy zdecydował się Pan opuścić Czarny Łąk i zamieszkać w Europie?

Gdy skończyłem 22 lata, mój starszy jedynie o dwa lata kuzyn Stanisław Rey z Francji zginął w wypadku samochodowym. Wówczas wujek ściągnął mnie do tego kraju. W jednym tygodniu dostałem paszport, prawo jazdy i pozwolenie na broń. Umożliwiły to ogromne wpływy, które mieli Reyowie. Dziadek Stanisław Kostka Rey był wielkim posiadaczem ziemskim, a jego majątek stanowiło ponad 1700 ha ziemi, z czego prawie 50% – lasy. Tutaj po raz pierwszy spotkałem się z polowaniami ziemiańskimi. Chodziliśmy przede wszystkim na ptactwo: kaczki, słonki, kuropatwy i bażanty. Musiałem więc znowu zmienić taktykę – ze strzelania kulami przeszedłem na strut, którego dotąd w zasadzie nie uży-

wałem. Ponadto niezwykle interesujące wydały mi się polowania na króliki i zające. Występowało ich wówczas w Montresorze w bród.

Czy mając tak różnorodne doświadczenia łowieckie, potrafi Pan wskazać swoje ulubione polowania?

Być może wynika to z sentymentu do lat młodości, ale moim zdaniem najwspanialsze polowania to te afrykańskie, gdy myśliwy ma szansę spotkać najwięcej gatunków zwierzyny, a i panujące tam warunki wiążą się dla niego z prawdziwym wyzwaniem. Oczywiście Europa daje inne, również ciekawe, doświadczenia i cudowną przygodę, dlatego te polowania także bardzo sobie cenię.

Param się myślistwem już 55 lat i na tę okoliczność w 2016 r. na rykowisku św. Huberta ofiarował mi sposobność ustrzelenia byka jelenia perukarza w łowisku w Supraślu, za co bardzo mu dziękuję.

Często Pan wraca do Afryki. Powodem są właśnie polowania?

Kiedy zamieszkałem w Krakowie, kilku miejscowych kolegów – baron Adam Bisping, hr. Jerzy Donimirski, Jarosław Lasecki oraz Jan Delong – zwróciło się do mnie z prośbą, abym pomógł im w zorganizowaniu safari. Tak więc zacząłem zabierać ich do Mozambiku, Namibii, Zimbabwe i Botswany. Co rok lub co dwa lata wyjeżdżamy z myśli-



wymi zarówno z Polski, jak i z innych krajów europejskich. Celem tych wypraw jest nie tylko polowanie – myśliwy, który wraca bez trofeum, przywozi więcej wiedzy i doświadczenia. Podróże kształcą.

Co z lekcji w afrykańskim buszu lub na sawannie, oprócz aspektu emocjonalnego, może wynieść europejski łowca?

W trakcie polowania na dziką, rogacza czy byka jelenia myśliwy stosuje broń kulową i sam wyznacza sobie granicę dalszych strzałów. Wiele osób, widząc na otwartym polu dziką przelatującego w odległości powyżej 50 m, nie decyduje się na strzał, ponieważ ma do siebie zaufanie dopiero wtedy, kiedy zwierze stanie w takiej odległości. Natomiast na safari i w rosyjskiej tundrze dystans postrzega się zupełnie inaczej. Ze względu na to, że w tych miejscach trudno się ukryć, zwierzyna widzi cię z daleka. Tamtejsze zwierzęta zazwyczaj tolerują człowieka w odległości ok. 150 m, dlatego podchód i większość strzałów w Afryce nie pokrywają się z europejską wyobraźnią. Tam normalne strzały oddaje się na 150–300 m. Myśliwi, którzy wyprawiają się ze mną po raz pierwszy, są w szoku i zupełnie do tego nieprzygotowani. Mają więc naukę strzelania w całkiem innych warunkach, a także lekcję zaufania swoim umiejętnościom. Przekonują się, że mogą strzelać również na dalekie dystanse.

Zachęcam swoich kolegów, aby często zmieniali obszar łowiecki, bo dzięki temu zaczną strzelać z dużo lepszym skutkiem. Ja poluję na różnych terenach w Polsce i we Francji. Dzięki uprzejmości mojego kuzyna Dominika Reya polowałem z wielkim księciem Henrykiem w Luksemburgu, przyjaciele czy rodzi- na zapraszali mnie do Belgii, bywałem w Hiszpanii, jeździłem też do Anglii i do wspaniałych łowisk na Syberii. Wszędzie zdobywamy nową praktykę, którą potem możemy wykorzystać w rodzinnych stronach.

Stara się Pan edukować nie tylko dorosłych – Pańskie trofea pozyskane w Afryce są używane podczas lekcji przyrodniczych w Zamku Królewskim w Niepołomicach.

Część trofeów, wyprawionych przez afrykańskich fachowców, zdecydowa- łem się przekazać do Niepołomic.



W ten sposób powstała tam jedna z największych kolekcji afrykańskiej fauny w Polsce. Około 30 tys. dzieci rocznie odwiedza tę wystawę i bierze udział w lekcjach przyrodniczych. Często spotykam się z argumentami, że na darmo morduję zwierzęta, a ja uważam, że ta ekspozycja temu zaprzecza. Niewykluczone, że za jakiś czas niektóre z tych gatunków przestaną już istnieć i właśnie dzięki takim preparatom uda się zobaczyć, jak one rzeczywiście wyglądały. Bywa, że jestem nazywany zabójcą, a może za 100 lat ktoś bardziej doceni mój wkład dla przyszłości.

Dlaczego myśliwi muszą się dziś mierzyć z wszechobecną krytyką?

Ponieważ w społeczeństwie brakuje głosu rozsądku, krzyczą ci, którzy nie mają pojęcia o gospodarce łowieckiej ani o prawach natury. Ludzie żyjący nie tylko w miastach, lecz także na wsiach są odcięci od przyrody, utracili z nią kontakt. Mówią, że należy chronić zwierzynę, ale nie rozumieją, co stoi za słowem „ochrona”. To prawda, że technika poszła do przodu, ale prawa natury nadal istnieją. Przeciętny człowiek żyje w złudnym, wykreowanym przez media świecie, gdzie myśliwych traktuje się jak wrogów przyrody i kłusowników. A przecież to myśliwy jest najlepszym adwokatem zwierzyny, ponieważ jak nikt inny troszczy się, aby żyło jej

jak najwięcej i w jak najlepszym stanie. To leży po prostu w jego interesie. Polujący dbają o swój obwód i pilnują, aby licznie występowały tam zdrowe zwierzęta. „Zieloni” politycy i ekolodzy nie pojawiają się na tych obszarach – oni tylko głośno hałasują.

Jeśli chodzi o Polskę, to dużą winę za obecny stan ponoszą władze PZŁ. Uważam, że trzeba zmienić reguły działalności tej organizacji, a najlepiej w ogóle ją zlikwidować, gdyż nie ma większego sensu istnienia. To wbrew logice, aby człowiek pragnący zostać myśliwym jednocześnie musiał wstępować do PZŁ. Przecież w tym wszystkim chodzi jedynie o kasę, składki członków, z których wypłaca się ogromne pensje dla władz PZŁ.

Sądzę, że myśliwych wykorzystują też politycy. Przed każdymi wyborami obiecują nam gruszki na wierzbie, ale później się okazuje, że głosu polujących w ogóle nie bierze się pod uwagę. Drażni mnie zwłaszcza sytuacja, kiedy o ich interesy nie próbują dbać politycy, którzy są aktywnymi myśliwymi. Posuwają się nawet do tego, że aby poprawić własny wizerunek, wyrzekają się swojej pasji. Jak można zaufać komuś, kto nie potrafi zaufać samemu sobie?

Dziękuję za rozmowę.

*Rozmawiała
Izabela Kamińska*